

JÓZEF CZECHOWICZ

KAMIEŃ

BIBLIOTEKA REFLEKTORA LUBLIN 1927

U W A G A!

W **K**AMIEŃ JÓZEFA **C**ZECHOWICZA
AMIENNY RYTM UDÓW

A
G
A

TE WIERSZE NIE SIĘGAJĄ ŹRÓDEŁ **NOWEJ METAFIZYKI**
ALE
PRZYNOŚĄ KRZYK BUNTU **PRZECIW STAREMU ŚWIATU**
!
ZAPOWIADAJĄ CZAS ROZBRATU **CZAS WALKI**
O! KTÓŻBY ODPOWIEDZIAŁ JAKIEJ!

JÓZEF CZECHOWICZ

KAMIEŃ

INWOKACJA /NA WSI/ KOŁYSANKI
PEDEM /ŚMIERĆ /ODPOWIEDŹ/
KONIEC REWOLUCJI /KNAJPA /
O NIEBIE /WIĘZIEŃ MIŁOŚCI /
FRONT /BIEG BEZ NADZIEI /

NAKLADEM BIBLIOTEKI REFLEK
TORA TŁOČONO W LUBLINIE
W DRUKARNI SZTUKA SKŁADALI
JÓZEF BANASIK I JAN JANISZEWSKI
ODBIJAŁ STANISŁAW BALL ŁAMAŁ
ALEKSANDER KRZYŻANOWSKI DRUK
UKOŃCZONO W LIPCU TYSIĄC DZIE-
WIĘCSET DWUDZIESTEGO SIÓDME-
GO ROKU.

UWAGA!
W
A
G
A
2007
5
Z CZECHOWICZEM

ODBITO 500 EGZEMPLARZY NUMEROWANYCH
ORAZ 25 NA PAPIERZE MIRKOWSKIM
CZERPANYM Z PODPISEM AUTORA.

INWOKACJA

Liczę 22 piętra
liczę 22 lata
jest nas dwudziestu dwóch

Człowiek to transformator
a przecież można liczyć miesiące albo dni
ileż wtedy sobowótów ma staruszka w pince-nez
nieskończony jest przemian ruch

Przez pince-nez widać w błękitie zonglowanie
zrzadka piłka upada na tenisowy kort
ręce ciągle zajęte planet-podbijaniem
w pikowej bluzce córka komunisty
w jedwabnej koszuli lord
dysonansowy dystych

To nie jedno to zawsze to wszędzie
wielka wielość nieskończoność Cyfr
to co było to co jest to co będzie
w matematyce ma leitmotiv

Mam dopiero 22 lata
znam dopiero 22 piętra
znam zaledwie dwadzieścia dwoje warg
zapomniałem miljardy o swej dumie pamiętam
nieść się wysoko jak maszt wśród latarń
przez dni przez gwar przez targ

PĘDEM

Światło fosforyzujących drzew przepala kościane wieże
drgnęło i potoczył się po płytach samochodów potok
ulicę Złotą osłodził
kłębem bębniącym benzynowego dymu zabłękitnił na złoto

W rozwiewaniu się welonów i grzyw
widać jasno że maszyna pieści
krajobrazy się rwą
lecieliśmy przez czarne mokre miasto
naraz błysło przedmieście
wachlarze kratkowanych niw

Chrzęści żywiół pszeniczny
każdy kłos inny
jednak na wszystkich polach starej ziemi
tysiącami się znajdują jednakowe
co rok takie same ma Reims i Przemysł
a wszystkie złotopłowe

Jeden taki zasuszony w kajecie
przy innym kosą przecięty skonał zając
trzeci w brudnych rączkach trzymając
opowiadały mi dzieci
że za plecami skrzydła mają
(opalone ciała dziewcząt pachniały nad rzeką jak prerje)
teraz mknę bez skrzydeł na białym Citroenie
wiatr klaszcze nad mym pędem jak w cyrku galerje
pszenicę pochyla nad ziemię

Jeden kłos dwa trzy kłosy
nieskończoności płowe włosy
giną rząd za rzędem
za moim i nieskończoności pędem

KONIEC REWOLUCJI

Marszczyła się ceglasta woda
przygnębiały ją domy ceglaste
żeglowała czarna łódź niepogoda
nad miastem

Dudnił deszcz o deseczki i deszczulki
na dziedzińcach tartaków zaśmieconych wilgotną trociną
na niebie było ciemno chmurno jak w zaułku
za niebem było sino

Mokro były pomokłe sztandary
dymy zataczały się na bruku
spitym mglistorudawym pożarem
głędził z parkanów gruby druk

Z dalekiej drogi mlask błota
salwy drą zmierzch koło koszar
a przedmieściem
przesuwało się już w piosence gawrosza
w nieustannych mitraljez terkotach

FRONT

Ludzie w białych domach mówią to pole chwały
w niedziele chodzą do kościoła i na białe procesje
ulicami czystymi w słońcu przebiega pies biały
w białym kwitnącym parku Zakochana czyta poezje

Ale tutaj niema wcale białości
w szarej ziemi rowy pełne brudnych żołnierzy
dym siny i różowy przechodzi do nas przez rzekę
nie białe żółte są kości
armatniego ataku ognisty prąd
na niebie nieustannie leży
to front
to zastąpienie do piekiel

Odcinek 212 i wzgórze 105
we dnie szturmy i strzały
a w nocy przez dym przedzierają się reflektory
po drutach kolczastych biegają błyski żywe jak rtęć
wszystko ma wtedy inne kolory

Gdy cicho zbłąkana kula wślizgnie się w białe czoło
zniecka zrobi się białe (nawet na froncie)
biała niedziela biały park piesek biały
zatańczą wkoło

Pole chwały

KNAJPA

Tłumnie mijają się auta
centkowane kregami lamp
wracano z rautu

Nagle ramiona w bransoletach pochylały się nad bruktem
równolegle poziomo i wukos
z gestów dam
wynikało że chcą spędzić wieczór w gabinetach
pić wesoło i długo

Błysła zabawa

Nie było gwiazd
nie wiadomo być czy noc już schodzi
w czterech jedwabnych ścianach niema ulic miast
nikt nie przechodził

Głosy w pijaństwie gąsły głaskały się coraz dalej
smukły pan całował ażurowe pantofelki
jedna para tańczyła
spadała komenda pij nalej
z ust panienki w sukience lila
gulgotyły nad kieliszkami butelki

Nagle zaczęły się przesuwać kąty gabinetu
żeby nie upaść musieli usiąść
czarne nocne okno błędziło ze ściany na ścianę
kwadraty posadzki gonily za daleką metą
wydęte banie portjer wirowały nad stołów oceanem

Usiedli usnęli
 gabinet jak wagon pomknął ku świtowi
 głowy pijane odrzucili wtył
 żyły im nabrzmiewały krwią i alkoholem
 a z niemocy tych głów z gorączki żył
 realizuje się fantom-Golem

Byłby może zmiąłdzyl tę gromadę
 ale oto
 w lirycie dalekiego tanga
 zaczął warczeć codzienny motor
 zmieniło się niebo blade
 w jaskrawy prześwielisty hangar

ŚMIERĆ

Za ścianą płaczą dzieci
 Ona do mnie mówi
 Oddycham lodowem kwieciem
 nieznanym równin

A tam kołysanki
 a tu chust poszum
 niema nic gorętszego cichszego od jej głosu

Napróżno żyję myślę chodzę tylko przed Progiem
 a gdy płynę przez miasto wieś
 szumię lasami kawiarnią bezdrożem teatrem
 to ona zawsze jest gdzieś
 za ciszą nocną wiatrem

Zgłuszyć nie mogę

Nieruchome nad ulicą zachody
 miedziane jak grosz
 gwarzące syrenami samochody
 mury fabryk w nieustannym tętnie
 mądry pociągu bieg
 krzyczą o życiu namiętnie
 nie wierzą że jest brzeg

Ja chcę nie wierzyć i nie chce wierzyć mały poszarpany kruk
 którego psy rozdarły
 śmierć chodzi ona do mnie mówi szeptem gorącym
 zdeje się że z obrazu złotego dna wychodzi Bóg
 schyla się nade mną umarłym i krukiem zdychającym

Na rzesach wstydliva iza
widzę w niej świat gliniany jak skarbonka
nachodzi na mnie lodowa łąka
to już nie ja

I ciebie kuku niema
(może nikogo niema za złotem tłem)
zawiły schemat

PRZEMIANY

Żyjesz i jesteś meteorem
lata całe tętni ciepła krew
rytmy wystukuje maleńki w piersiach motorek
od mózgu biegnie do ręki dźwięk nie nerw.

Jak na mechanizm przystało
myśli masz ryte w metalu
krążą po dziwnych kółkach (nigdy nie wyjdą z tych kółek)
jesteś system mechanicznie doskonały
i nagle się coś zepsuło

Oto płaczesz
po kątach trudno znaleźć przeszły tydzień
linje proste falują — zamiast kwadratów romby
w każdym głosie słyhać w całym bezwstydzie
Ostatecznego Dnia trąby

Otworzyły się oczy niebieskie
widzą razem witrynę sklepową i Sąd
przenika się nawzajem tłum — archanioły i ludzie
chmurne morze faluje przez łąd
ulicami skroś tramwaje wpoprzek
suną mgliste rydwany
pod mostami różowe błyskawice choć grudzień

Otworzyły się oczy niebieskie
widzisz siebie-marynarza w Azji
a zarazem 3-letniego 5-letniego chłopca
na warszawskim podwórku
i siebie przed maturą w gimnazjum

namnożyło się tych postaci stoją ogromnym tłumem
 a wszystko to ty
 nie możesz tego objąć szlifowanym w żelazie rozumem

Myśli proste falują światy zaćmiewa wichura
 gdzie wiatr dmie—gasną latarnie
 trąba w ciemności ponura
 I wołasz

WŁADYKO PRZYGARNIJ

Otóż i jesteś umarły
 w mechanizmie poruszają się kółka ale nie to
 przez zepsucie się małej sprężynki
 spadłeś piękny meteorze
 na zupełnie inną planetę

NA WSI

Siano pachnie snem
 siano pachniało w dawnych snach
 popołudnia wiejskie grzeją żytem
 słońce dzwoni w rzekę z rozbłyskanych blach
 życie—pola—złotolite

Wieczorem przez niebo pomost
 wieczór i nieszpór
 młeczne krowy wracają do domostw
 przeżuwać nad korytem pełnem zmierzchu

Nocami z pod ramion krzyżów na rozdrogach
 sypie się gwiazd błękitne próchno
 chmurki siedzą przed progami w murawie
 to kule białego puchu
 dmuchawiec

Księżyc idzie srebrne chusty prać
 świerszczyki świergocą w stogach
 czegoś się bać

Przecież siano pachnie snem
 a ukryta w niem melodia kantyczki
 tuli do mnie dziecięce policzki
 chroni przed złem

PIOSENKA ZE ŁZAMI

Kołysanki
z dalekich okien zmarszczki blasków złotych
na ścianie
próżno tam dosięgać rączką
w dużej książce malowanki
zimowych dni narkotyk

Słowa z żalu
taka piosenka co się w niebo wsączy
ja jednak wierzę
oddaję się wszystkim falom
niech mnie daleko noszą niech nikt nie stoi przy sterze
kołysanki takt ostatni się skończy
w straszliwych burz gwałtowności

Piosenko czemu mnie sprzedajesz
ze słów i pamiętań niemoc
był łańcuch — jam go nie rozciął
nie mogłem siebie przemóc

O NIEBIE

Nie słysząc już blegających baranków
wilgotne obłoki poszły do innych poranków
z pustej hali nieba opada pył niebieski
filtruje się przez drutów przerwy i kreski
południe przysypuje się suche i szorstkie
nad sylwetkami aeroplanów i chłodem fabrycznych dzielnic

Warto śpiewać jego chwałę jest nasze i zamorskie
tak bardzo piękne gdy śmiga przez nie śmiały pion komina cegielni
a razem
nad dalekimi lasami dzwoni błękitnym żelazem
pierwotne i olbrzymie
gdy stanąwszy u białego miasta napelnia się dymem
gdy wie że jest dnia chlebem
warto śpiewać jego chwałę

Południe jest jasno jednakowe
południe wygina swą powagę opada kruszynami tynku
za dni dziecinnych wyginała mi się nad samą głowę
i wtedy szeptał do mnie stamtąd ktoś mój synku

AMPUŁKI

Nad pogrzebem balkony chorągwie i trumna
w chmurze samolot
w porównaniu z człowiekiem który to zrozumiał
lokomotywa ekspresu — nie kolos
we wsiach młocarnie nie dziwią krów
płosnka kabaretu od płotu do płotu
jedyna rzeczywistość udręczeń ma coś ze snów
każdy nie wierzyć jest gotów

Reklama ryczy za reklamą
sygnał świeci do sygnału
z ostrych gwizdawk i kłębow pary wzlotu
znać tempo życia wciąż to samo
mimo szybkości obrotów
kilkadziesiąt milionów łańcuchów
ciągnie świat pomału
wiedomo że niema prawieczystej jedni no i duchów
w niezliczone dla oka strony
rozpelza się życia proces
wszędzie miliony biljony tryljony
straszliwe noce

Nory wilgną od płaczu nędzy
w kawiarniach małej miścinie na froncie
tryska śmiechami literatura
w pałacu zielony stolik stopy pieniędzy

Gdybym to mógł zamącić
jużbym był górą

Patrzcie
za zamkniętymi drzwiami
może naprawdę kolorowe drogi się palą
dlaczegożby wszystko co jest
nie mogło się zmienić wraz z nami
w świętość zapach ampułki Graala

WE CZTERECH

Rozwija się dróg gwiazdnych rulon
ziemia się toczy za Zwierzem
jak przetrwać noce cwałujące do bólu
dni fabrykę huczącą jak przeżyć

Na beton mlecznych szlaków się wzbic
jednym pływackim rzutem ramion
i już stopy biegnące po łące nieba
trawę gwiazd łamą

Jest nas czterech na starcie
jest nas czterech na złotej linji komety
jest nas czterech (to ja jestem czwarty)
jest nas czterech celujących do mety

Wprzód!

Podrywają się grzbiety wygięte
głowy biegną rozkrzyczane przed ciałem
bieg smaga nagich jak prętem
gdzie radość gdzie żalność

W locie
zdeptały wszechświat stopy nasze
w wichurze migających czerni i rozżłoceni
w kurzawie
runęły groby i ołtarze

Tak ogromny jest lot ku sławie

Jest nas czterech rzuconych jak globy
jest nas czterech

jest nas czterech pijanych sobą
jest nas czterech

W wonnych snujących się dymach biegnie Konrad
gronami wina potrząsa tyrs wyciąga przed siebie
niesie go mądrość ostatnia radość stara i mądra
winem przez wino na winie po niebie

A tam jak strzała z łuku bursztynowych chmur brzegiem
przelatuje lotem bez zmęczenia poeta Waclaw
on napewno w aksamitnym tygrysim biegu
piersi obłąkanych pędem nie roztrząska

I Stanisław tętniący stopami jak we śnie
finisz biorąc z wysiłkiem nadmiernym zbyt ciężko
nie zawoła do siostry śmierci weź mnie
czyże nogi umkną umkną przed klęską

Winograd spokój chyżość
do nich to meta nadbiega nieznana
obłoki pod stopami jak na sznur się naniżą
piorun zwycięsko strzeli na tryumf jak granat

Biegnę biegnę jak życie człowiecze
razem Witam i razem już żegnam
lot jakbyś rzucił mieczem
ale nie wiem
matko nie wiem czy dobiegnę

WIĘZIEN MIŁOŚCI

Kochankowie spotykają się nocą
w październiku spada z nieba dużo meteorów
niejeden już zagasł dymiący kaganek
odkąd Ona przemknęła staroświecką karocą
wśród tętniących warczących kolorów

Najpiękniejsza z niespodzianek

Błękitni spotkaliśmy się nocą
nie feerja czy alkohol

ale nawet boży błękit
bo i poco
nie uścisnęliśmy sobie ręki

Tak było napisane na 18 stronie
głowa samobójcy leżała na otwartej księdze
w ustach jęk już niczyj
w dłoniach nie wiem ale pewno niewidzialne ręce

Błękitni spotykają się nocą
rozmowa w gwiazdach widzianych przez poezję

— Tęsknota Czekanie Nikt nie wezwie Czekam Tęsknota
Kocham Dalekość Ty Gwiazdy złocą Kocham
Czekanie pieszczot Nie marzeniem słowa twe szeleszczą

Błękit
Gdzie jest błękitem błękitno
Smagłe ręce Pieszczota Zapalone oczy
Pod futrami Rozkosz Błyski Nagie ciało
(Nie tobą sny kwitną
dzieciństwo nie tobą pachniało
choć czekałem cze ka łem CZE KA ŁEM)

Błękitni spo

Wychodził z dancingu
Jej usta w usta położyły się ostro nagle
i był biały kwiat na czerni smokingu

A błękitny został wołał
rozpacz nocą na bagnie

O nie
erotyk nie może się skończyć rozpaczą
są tacy co czytają i płaczą
lepiej jest płacz z zazdrości

Niema ciszy
wiekiem prawiekiem niedzielą nocą wśród prac
wszędzie gonił mnie płomień miłości
pieniła się w girlandach elektrycznych lamp
gorzała jarkim ogniem w wszystkie dalekości
szrapnelami biła w kościół
wszystko moje jest tam

Marysia z Marylami Marie Mary z Marją

Strzelistemi aktami rozmodlonych rąk
piętrzyłem to upalne wiwarjum
przy jednej życia zwrotnicy
pociąg pełen jak strzał

Chrupały miłość z jękiem skargi
czerwone czerwone czerwone wargi

Piersi nie poto są by wabić
lecz by się ciężkiem ciałem dławić

Nogi płaszące na łożu pljanem
muszą orgję przesunąć daleko za ranek

Mechanizm miłości dziwnym jest przyrządem
wszystkiego chce zaznać wszystkiego pożąda

Jem długo wilgotne usta są w moich wodnistym miąższem
włosy nie potem benzyną chyba pachną
pod błędnym nog i ramion gęszczem
od płomiennych spojrzeń czerwono i jasno
A TO NIE JEST MARZENIE BŁĘKITNYCH WIERSZY

Świat jednym miłości motorem
krzyk mój nad nim ulata
krzyk płomień płowy płodności gore
nie najlepszy nie ostatni nie pierwszy
jestem anteną drgającą tego świata

Upiorną codziennością świeci każda nagość
jak przez pajaca przez żywe ciało przewleczone nieć
niema tego w żadnym eposie
takich ksiąg nie wiezie znikąd wagon
że męczyć własną mękę to żyć

Dziewczątka zakonnice i dziwadła z mózgu
smutne damy w żałobie nietoperze o olbrzymich ustach
władacie mną ja władam wami
przedemną odkryte to co wam się z rąk wymyka
kopuła stalowa z gwóźdźmi gwiazdami
która może jest pusta
i strefa od pierwszego do setnego zwrotnika

Gwizdzą syreny nienawiści
tętnią jeźdźcy tuż koło mnie

wbrew ziemi tu mi bezdomnie
a dalej w otchłani świeci czyszciec
od rozpusty nierzum i wiara
od zgubienia poezji niepokój
ziemio duszo stara
1926 roku

Bunt uwiadł
w ramionach miłujących uwłężony mówię
mowa się rytmicznie tka
jeden wyraz drugiemu równien

WIECZNOŚCI CHCĘ

BEZ DNA

BEZ DNA



REPRINT WYDANIA Z LIPCA
1927 ROKU WYDRUKOWANO
W DRUKARNI PETIT S.C.
W LUBLINIE W NAKŁADZIE 200
/W TYM 80 EGZEMPLARZY
RĘCZNIE NUMEROWANYCH/
WYDANO PRZEZ OŚRODEK
"BRAMA GRODZKA-TEATR NN"
NA PAMIĄTKĘ 80 ROCZNICY
DEBIUTU JÓZEFA CZECHO-
WICZA LUBLIN LIPIEC 2007

19870-03-01004-00-0